

NIWISKIE IMPRESJE



*Czytelnikom Jednodniówki Literackiej
powstałej podczas pobytu w Niwiskach
najlepsze życzenia składa*
Marek Jastrzębski
*Dyrektor WDK w Rzeszowie
11 października 2012 r.*

„WSTĘPLIWIE”

Żyjemy w przedziwnym zakolu czasowym polskiej duchowości. Obliczyli, że w Polsce każdego dnia roku wychodzi drukiem JEDNA książka, a tu jak na ironię ponad połowa rodaków bez żenady wyznaje, że nie przeczytała przez cały rok ani JEDNEJ książki. Roi się u nas od kulturotwórczych inicjatyw literackich, atoli wiosen, lat, jesieni poetyckich, różnego kalibru spotkań autorskich także konkursów literackich czy sympozjów. Jesteśmy krajem, w którym bogato obradza piszącymi we wszystkich przedziałach wiekowych — od przedszkolaków aż po sędziwych seniorów. Nikt nie zliczy uprawiających literaturę doszufladnie. Zjawiskami tymi wyraziście jest ogarnięte nasze Podkarpacie. Mamy bowiem istny wysyp obfitości ludzi zauroczonych słowem pisanym co jest podbite pieczętą takich środowisk jak choćby: mieleckie, stalowowolskie, przemyskie, krośnieńskie, bieszczadzkie, wreszcie dominujące bądź

co bądź kręgi twórcze samego Rzeszowa. Rzecz oczywista, iż pułapy artystycznych wzlatań w tym literackim zagęszczeniu bywają różne, nie mniej elity przecież znachodzimy. Dlatego z zapalem druha zastępowego zagwizduje na kolejną zbiórkę lubicieli słowa pisanego. Stawić się na nią mają w warunkach bezświecznikowych i bezfortepianowych bywalcy Podkarpackiej Izby Poetów, która ma kąty w Wojewódzkim Domu Kultury.

W urokliwym lesistym plenerze Niwisk przychodzi nam znów przedrzeć się do społeczności regionu z twórczym rozedrganiem dusz, by wzruszyć, dać impuls do zadumy mądrej, czy ukazać radośniejsze nuty na życiowej partyturze. Także, żeby się współubogacić, samopouczyć i artystycznie nagadać. Niech się szeroko roznoszą spod sośnin poszumliwych odgłosy i rozgwary kreatywnych uniesień nas — mających słuszne pretensje piękniej i głębiej odczuwać barwy życia.

drAG

EDWARD BOLEC
PARK, PUSTYNIA I KARAWANA

1

Koniec listopada w Bostonie. Niedziela. Piękne, ciepłe, słoneczne dopołudnie. W Polsce rzadko zdarza się podobna, śródziemnomorska pogoda, późną jesienią. Tam zwykle dni są już chłodne, szare, poranki zamglone, pełne wilgotnej rosy pokrywającej szczerlnie cały zewnętrzny świat: bezlistne drzewa, nagie krzewy, ostatnie kwiaty w ogrodzie, samochody i to wszystko, czego nie schowaliśmy pod dachem; czasem nawet spada pierwszy śnieg i ludzie muszą wkładać ciężkie zimowe płaszcze i futra.

W Bostonie, który leży nad Atlantykiem, w zasięgu zbawienego dla klimatu wschodniego wybrzeża Stanów, prądu morskiego Golsfstrom, taka pogoda jak dzisiaj, to chleb powszedni, normalka. Tutaj lato jest upalne, z dużą wilgotnością, przychodzącą od wiecznego, ogromnego oceanu, i wtedy robi się nawet tropikalnie momentami. Następnie przychodzi długa i sucha jesień, z temperaturami powyżej 20 stopni Celsjusza, nazywana The Indian Summer, która trwa co najmniej do połowy listopada. A bywają i tak nietypowe, wyzwajające na chwilę bostończyków z puchatych kurtek, wiosenne dni w grudniu i styczniu w tych stronach, że upycham zimowy dres z powrotem na półce w szafie — i joggeruję w krótkich spodenkach ulicami wiktoriańskiej w architekturze, acz, powiedzmy delikatnie, rewolucyjnej obyczajowo dzielnicy South End, gdzie mieszkam od trzech lat, i gdzie wciąż zdumiewa mnie nieskończenie dwóch przystojnych facetów, lub para wybiegowych panienek z dobrych domów na spacerze, trzymających się za rączki, albo za inne części ciała.

Mam słabość do parków. Wystarczy, że zaświeci słońce, słupek rtęci w termometrze walnie do góry, a ja już kombinuję, jakby tu urwać się z biura lub z domu

JEDNODNIÓWKA ZŁOTOJESIENNEJ ZBIÓRKI POETYCKIEJ 2012

i prysnąć do parku. Uparłem się szczególnie na The Norman B. Leventhal Park — położony przy Post Office Square, w biznesowym centrum miasta. Zawsze tu przychodzę, ilekroć znajdę się w pobliżu, albo gdy, tak jak dzisiaj, ciągnie mnie do parku ta sama nieznama i (cholemlnie!) tajemnicza siła, która co jakiś czas każe mi także wparować do irlandzkiego pubu The Burren przy Davis Square w Somerville, wprowadzić w siebie kilka energodajnych guinnessów i zagubić się w obcym, przypadkowym tłumie. Leczenie kaca to moja specjalność.

Ten park jest wyjątkowy. Pod każdym względem. Przymknijcie na chwilę oczy i wyobraźcie sobie, oczekiwana od wielu godzin lub dni, przez utrudzonych podróżników, uroczą oazę ocienioną strzelistymi palmami, w środku afrykańskiej pustyni. W centralnym punkcie oazy tryska z ziemi kryształowy strumień życiodajnej wody, do którego zmiierzają spragnieni przybysze.

To jest właśnie takie ekstra miejsce, otoczone z czterech stron obronną palisadą zieleni z egzotycznych drzew i krzewów. Pustynia to asfaltowe ulice opasujące szczelnie park, którymi cały czas pędzą samochody do pobliskich autostrad i tuneli. Pędzą i wyją jak nieobliczalny, saharyjski wiatr. Przy ulicach stoją ogromne, granitowe, bazaltowe, kamienne wieżowce. Niektóre z nich, nawiązując architekturą do egipskich piramid na wyższych piętrach, wywołują skojarzenia z podstępnyimi, groźnymi górami ruchomych pustynnych piasków, w każdej chwili gotowych ruszyć w kierunku bezbronnej oazy-parku i zetrzeć go jednym ruchem z powierzchni betonowego miasta. Na szczęście dla parku i mnie podobnych — parkomanów — Boston nie leży w rejonie sejsmicznych wstrząsów i huraganów. W przeciwnym wypadku byłoby już dawno po parku i po nas.

2

Z nowu mi się udało. Wykorzystałem moment przerwy w orgiastycznym marszu zwycięstwa czterokołowych, stalowych potworów, niepodzielnie panujących na bostońskich ulicach i przedarłem się do parku. Teraz jestem w innym świecie. Czuję się, jak amerykański marine, który jakimś nieodgadnionym cudem, wyrwał się dużo wcześniej, przed terminem powrotu jego oddziału, z piekła bushowskiego Bagdadu, do bezpiecznej bazy w Teksasie. Siedzę na wygodnej ławce z jasnego, bursztynowego koloru, drzewa dębowego, w alejce pod misterną i solidną konstrukcją drewnianej arkady, podtrzymującej pędy winorośli, pomalowaną na ciepły, popielaty kolor i wspartą na podwójnym szeregu korynckich kolumn, wykonanych z szlifowanego, pastelowego granitu. Z tego samego granitu są krawężniki, ozdobne słupki, pojemniki na śmieci, a nawet kwadratowe płyty, umieszczone co kilka metrów w chodniku, aby uniknąć monotonii czerwonej, wypalanej cegły, ułożonej w romboidalną sza-

chownicę. Nad moją głową, w zielono-żółtych, przeźroczystych i delikatnych jak jedwab listkach dzikiego wina, rozrabia na dobre kolonia szarych amerykańskich wróbelków. Niczym nie różnią się od naszych, polskich. Tak samo są hałaśliwe, beztroskie i permanentnie głodne.

Zawsze, gdy tu zaglądam, podziwiam genialność projektantów i niespotykaną solidność wykonawców parku. W tym miejscu przez dziesiątki lat straszyla bostończyków odrażająca szopa — ogromna, wielopiętrowa konstrukcja garażu, która szpeciła centrum, jak obrzydliwy wrzód na twarzy. Po długich dyskusjach, zainicjowanych przez znanego filantropa, Normana B. Leventhala, zakochanego po uszy od urodzenia w tym najbardziej europejskim mieście Ameryki, zdecydowano się wyrwać szopę z korzeniami, garaż ukryć głęboko pod ziemią, a na powstałym placu założyć park, który przyniósł trochę życia do kamiennego miasta. Projektantom urosły skrzydła, wzniesli się na wyżyny sztuki inżynierskiej i zadbali o najdrobniejsze detale. Robotnicy i ogrodnicy na chwilę przestali się opierdalać i wykazali się niezrównaną jakością pracy. Razem stworzyli magiczną przestrzeń, która przyciąga ludzi jak żywy magnes. Park dedykowano głównemu sponsorowi, Levanthalowi, w uznaniu za dziesiątki lat jego bezinteresownej pracy dla stolicy stanu Massachusetts.



EDWARD GUZIAKIEWICZ
LA QUEBRADA

Z wysokości La Quebrada rozciągał się wspaniały widok na Ocean Spokojny. Wzrok biegł aż po horyzont. Schodziłem po schodkach, oczyma wyobraźni przenosząc się do czasów mych podbojów w Azji. Jako waleczny Aleksander pokonywałem bojową triadą poznaczone wyspami wody Morza Mirtejskiego i Kreteńskiego. Muzyk na flecie poddawał rytm napinającym mięśnie wiosłarzom. Wydymane przez wiatr żagle miały jednak inne kształty niż obecnie. Teraz wiosła zastępo-

JEDNODNIÓWKA ZŁOTOJESIENNEJ ZBIÓRKI POETYCKIEJ 2012

wał niewielki silnik, a wioślarstwo urosło do rangi dyscypliny sportowej. Żeglowało się dla przyjemności.

Dotarliśmy na miejsce. Lena zaciągnęła mnie tu, bo chciała obejrzeć mrozące krew w żyłach pokazy skoków do wody. Były one swoistą wizytówką i symbolem Acapulco. *Los clavadistas* codziennie ryzykowali życiem, rozslawiając ten meksykański kurort. I czynili to po mistrzowsku, zważywszy, że najlepsi rzucali się z urwiska do otoczonej skałami wąskiej zatoczki z wysokości trzydziestu pięciu metrów, co stanowiło odpowiednik co najmniej dwunastopiętrowego wieżowca. Do tego dochodziły skomplikowane ewolucje w locie. Skakali też po zmiernych, trzymając w rękach zapalone pochodnie.

Skąpo odziana dziewczyna wisiała mi na ramieniu, łaskocząc swymi włosami, a meksykańscy chłopcy modelili się, klęcząc, przed figurką Matki Boskiej z Guadalupe. Na wypukłościach pobielanych kamiennych kapliczek znaczyły się plamy błękitu. Staliśmy po drugiej stronie szczeliny skalnej na tarasie widokowym. Otaczający nas turyści filmowali ekstremalne popisy, kończące się nurkowaniem w spienionej wodzie, nagradzając je oklaskami.

— I jak? Zadowolona? Sam bym się nie zdecydował, nie ma głupich — żartobliwie dmuchnąłem jej do ucha, obejmując ją w pół. — Ostatecznie mógłbym robić za maratończyka, ale nie za gladiatora. To dobre dla niewolników.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Odgarnęła opadający kosmyk włosów. Jej niebieskie oczy mocniej zabłyszczały, gdy spotkały się z moim wzrokiem.

— To fakt, nazywają tych skoczaków gladiatorami — zauważyła. — Nie są niewolnikami, nikt ich do tego nie zmusza. — I zaraz filozoficznie dodała: — Ziemia cechuje pęd do ryzykownego przekraczania granic. Dziwi mnie ich brawura, bo przecież nie są tak wyposażeni jak my...

Zabrakło słowa „android”. Zauważyłem, że stara się go unikać, jakby kojarzyło się jej z czymś przykrym.

— A poza tym mają tylko jedno życie, więc dużo więcej od nas do stracenia — z namysłem dorzuciłem. — Chodź, nie będziemy tu sterczeć do wieczora — bez zniecierpliwienia ją ponagliłem, przytulając do siebie. Skoki się skończyły, więc szukający nowych wrażeń faceci ciekawie zezowali w jej stronę, mimochodem kierując ku niej aparaty fotograficzne, co mi się nie podobalo. — Pora na obiad!

Wracaliśmy żółtą taryfą do hotelu. Moja nimfa milczała, wspierając mi ufnie głowę na ramieniu. Avenida Costera Miguel Alemán ciągnęła się wzdłuż całej Bahía de Acapulco, przechodząc po drugiej stronie zatoki w Carretera Escénica. Aby dotrzeć do pięciogwiazdkowego Las Brisas Acapulco, trzeba było pokonać dystans piętnastu kilometrów.

Hotel miał dobrą markę, był zaliczany do setki najlepszych na świecie i mógł kojarzyć się z prawdziwym rajem. Włożono 20 milionów dolarów w jego renowację

i w efekcie tworzył oazę dojmującego spokoju i ciszy. Uznałem więc, że dobrze wybrałem, szukając przytulnego gniazka dla pary gruchających gołąbków. Przegrywał z Las Brisas nawet nasz kurort na Neeidzie w Galaktyce Andromedy. Otoczony barwną tropikalną roślinnością, szczególnie hibiskusem, oferował na zboczu wzgórza na kilku poziomach urocze *casitas* w stylu bungalowu z niewielkimi basenami i tarasami. Całość była zaprojektowana na planie półksiężyca. Wnętrza były ze smakiem urządzone, choć nieco w stylu retro. Każdego ranka życzliwy personel dostarczał do pokoi kawę, słodkie bułeczki i świeże owoce. Kto chciał, mógł korzystać z relaksujących masaży, łaźni parowej i sauny. Wieczorami można było kontemplować cudowne zachody słońca nad Pacyfikiem.

MARTA PELINKO POPIÓŁ

w objęciach traw
jestem zapachem
babiego lata

każdą porą roku
która przychodzi i odchodzi
inaczej

rdzawą jesienią
po której
już tylko zima
i popiół
bezmąslnie
rozwiany przez wiatr

RZEKA

czas
wytrąca ciało z równowagi
usypia je
przed wędrówką w nieznane
i zamyka szczelnie okna
by nie wpuścić kolejnego dnia
bez znaczenia

a ja...
nie czuję jego naporu

wyrzucam do kosza
swoje
panta rei

JANINA ATAMAN-GASIEWICZ ***

poezja
jak bóg
jest wszędzie

JEDNODNIÓWKA ZŁOTOJESIENNEJ ZBIÓRKI POETYCKIEJ 2012

siedzi na przystanku
buja w obłokach
leży na ścieżce

wystarczy schylić się
podnieść ją
otrząść z kurzu

choć niekoniecznie

TESTAMENT

przeżyją mnie
przedmioty
buty i wiersze

przedmioty
do rozdania

buty na śmietnik
bo małe
i wykrzywione

wiersze
może ktoś przeczyta
i wzruszą go

może wrzuci
w ogień

tam ich miejsce

RADOVAN BREKUS ODDALENIE BLISKA UKOCHANA

Na kalwarii czytam imiona
z tablic na nagrobkach.
Oddychają przeszłością,
wloką mnie możliwymi losami.

Najpiękniejsze imię rozświetliło się
od szlochania dziewczyny
z zaprzęzłego stulecia:
„Na ciebie czekałam”.

A ja uległem wołaniu.
Odbiegnę kupić świeczkę,
zapalę knot przy nogach kapłanki.

Jakże chętnie pogłaskałbym
powabną zjawę, która kiedyś
majaczyła na łożu śmierci.
Jakże chętnie bym ją objął,
otał z jej czoła pot
i wyleczył z boleści.

Siedzi na schodach kapliczki.
Tuli się do płynących obłoków,
figlarnym wiatrom przegładza włosy
i pieści z rozbawionymi gwiazdami.

A ja pośrodku ładu
zlewam się ze wszystkim, czego dotyka:
„Ciebie tropiłem”.

Złożony, zapomniany w niej mówię:
„Dlaczego szukanie trwało tak długo?”

„Potraficie coś niesamowicie kochać,
aż kiedy to ukrzyżujecie”,
zgaśnie odpowiedzią świecy.

Przestrzeń dookoła ściemnieje,
powietrze nagle skamienieje.
Rozpływa się z wirem znaków,
w niej gubię się z nią.

Kiedy znikła w liściach,
na rozkorzenionej twarzy
wypuściłem żyły z bordowej miazgi.

KAZIMIERZ TRELA HARFA W CHMURACH

Harfa — skrzydło anioła rozpostarte w locie,
(Pióra strun nastrojone, napięte i drżące...)
Dzisiaj swej górnolotnej uległa tęsknocie,
Wznosząc się ku obłokom skrywającym słońce.

Nie sięgną tu, by szarpać ją harfistki dłonie,
I dyrygent swym berłem tutaj nic nie wskóra,
I żwawy rój nut czarnych tu jej nie dogoni,
Bo dziś harfa na luzie, bo dziś harfa w chmurach.

Lecz oto Afrodyta, w boskim panteonie
Dostojnością znudzona dała w chmurę nura!
I o struny otała swe mityczne dłonie...
I zabrzmiała jak nigdy harfa — harfa w chmurach.

DOROTA KWOKA ALEJA

Dokąd prowadzisz ścieżynko
wydeptana przez księcia Lubomirskiego

Gdzie twój kres ścieżko
wygladzona śpiewem Jezuitów Sandomierskich

Dokąd wiedziesz alejo
pokolenia Hupków
Czy do polichromii na ścianach

JEDNODNIÓWKA ZŁOTOJESIENNEJ ZBIÓRKI POETYCKIEJ 2012

Czy do historii skrytej w pawich piórach
Czy do maków tańczących z wronami

Czy do dziś skrytego w szeleście
liści z drzew tych samych
choć bogatszych o słoje z wczoraj

ANDRZEJ TALAREK **NIEBO I ZIEMIA**

Tuż obok miejsca w którym niebo
sączyło soki ziemi zespalając
cudowne z materialnym
poznawałem pierwsze dni
łany zbóż falowały po horyzont
tam przechodziły w obłoczne niebo
i wracały przemienione nad moją głowę

od początku wiedziałem że tam
ziemia i niebo stanowią jedno
że umierający ludzie odchodzą poprzez zboża
do miejsca wniebowstąpienia
jednym krokiem przekraczają próg
niższy niż w sieni dziadka
i są w niebie

jak było nie wierzyć że anioły czuwały
nad każdym moim krokiem po wąskiej kładce
skoro tak blisko było ich mieszkanie
a cmentarz dotykał go krzyżami

po latach szedłem przez pola porośnięte
pszenicą jęczmieniem prosem i widziałem
jak chmury nad głową opierają się
na niezliczonych lodygach
a polna droga do kościoła sprzed lat
kończy się w obłoku dzwonnicy
zobaczyłem to co zapomniałem

zachodziło słońce za plecami
patrzyłem na wschód
kiedyś tam pójde

STEFAN M. ŻARÓW **ECHO PRYWATNOŚCI**

Staję pośrodku prywatności
Globalnej wioski
Obdarty ze złudzeń
Przybliżam

Nasze codzienne spojrzenia
Ułamki sekund
Przystanki
Unoszeni porywem uczucia

Tniemy przestrzeń
Nachodzimy siebie
Sferę prywatności

Nasze próby odnalezienia
Stawaniem
Tchnieniem ostatniej rozmowy
Zespoleniem

Pośpiesznie zbieramy myśli
Otoczeni powłoką
Wyobraźnią codzienności
Płyniemy na obłokach

ZDZISŁAW CZOP **OJCZYZNA**

Jesteś moją Polską
Naga przede mną bez sukni i stanika
Zaborcy patrzą przez okno
Zdraycy ojczyzny patrzą przez okno
Ty przede mną naga
Niech patrzą
Supermarkety zarastają ich oczy
Banki polskojęzyczne zarastają ich oczy
Za plecami w prasie i w telewizji
Mówią że mnie zdradziłaś
Że odeszłaś ode mnie do Unii z innym
Że tulę w rękach trupa

Ale ja czuję twoje jędrne ciało kobiety
Twój oddech na mojej szyi
Jak ci co szli w powstaniach
Jak ci co zginęli w wojnie II światowej
Oni mieli drzazgę ojczyzny
Wbitą w środek duszy
Przed ostatnim oddechem mówili — Kocham Ciebie
Bez patosu Kocham Ciebie
Moja Polsko

Moja Polsko
Kobieto mojego życia
Ty zamkniesz mi powieki

HERAKLIT MILCZY

Heraklit
siedzi na brzegu
patrzy w lustro wody
i milczy
za chwilę
popłyną nowe ciała
teraz jest cisza
po tych
co odpłynęli

JEDNODNIÓWKA ZŁOTOJESIENNEJ ZBIÓRKI POETYCKIEJ 2012

CECYLIA LUBACH
TU

Mówią
że stąd do Europy
będzie znacznie dalej
tu czas rozleniwiony
po lasach podsypia

i tylko samochody
coraz prędzej gonią
kołysząc na zakrętach
zdziwionych podróżnych
trasą jak sen szaleńca
Mielec-Kolbuszowa

Tu mieszkam
tutaj wracam
z bagażem doświadczeń
w cieniu wieży kościelnej
i słodkich akacji

gdzie się przez bure płoty
przekrada ciekawość
a sąsiad grzechy liczy
gorliwiej niż Pan Bóg

Gdzie zbóż łany się płowią
aż po lasu otchłań
i pachnie świeżym sianem
w lipcowe wieczory

a przy drogach z modlitwą
wszyscy święci stają
gdy dzwon południa ciszę
srebrnym ostrzem kroi



STEFAN M. ŻARÓW
NASZA CODZIENNOŚĆ

Ucieranie szlaku
Poprzecinana obłokami
Śladami stóp
Odcisnięciem wielokierunkowości

Nasza codzienność
W każdorazowym przebudzeniu
Blask dojrzałości
Ukojenie
Doświadczenie jedności

JÓZEF KAWALEK
NIBY ŚWIĄTYNIA STARA

Niby świątynia stara
jak dąb spróchniały a żywy,
niby góra a dach
przezroczysty, biały,
obok pachnąca koniczyna.
Idę gdzieś po tym dachu,
lśniący w koniczu suchym
nie pytam dokąd.
Z jego zapachu
wchłaniam aromat wieków.
Schodząc po piętrach stuleci,
zbieram, co one skosiły,
i sieję nowe ziarno.

POWRÓCĘ DO CIEBIE

Powrócę do Ciebie, Rózo,
uśmiechu dzieciństwa,
i do Ciebie w szacie niebieskiej,
Magnolio, ożywczy wodosпадzie,
Zorzo Wieczorna,
za horyzontem w słońcu skąpana,
Stokrotko Mych Marzeń,
Ziemio Jedyna.
Powrócę.

PIOTR JEMIOŁO
BON VOYAGE

kiedy mówię półgłosem dochodzę do wniosku
że miast w których się płaci za miłość i lepszą posadę

jest więcej
jak par które zgarnęły niezłą sumkę ręką zboczonych
krupierów

zaś ciała są stroniczne a role się szybko nie odwróca
kiedy mówię półgłosem jestem lżejszy o wiedzę
że miast bez ciebie przybędzie najwięcej

JEDNODNIÓWKA ZŁOTOJESIENNEJ ZBIÓRKI POETYCKIEJ 2012



KAZIMIERZ SMOLAK WADY

Cudze wady widzicie, swoich nie znacie, często mówi się tak, gdy ktoś celuje w pokazywaniu i eksponowaniu cudzych wad, prawdziwych lub urojonych. Wyciąganie na światło dzienne słabości bliźnich nie jest jednak dobrą stroną charakteru. Prawdą jest, że nie ma ludzi bez wad. Łacińskie przysłowie mówi „Kto szuka konia bez wad, niech chodzi pieszo!” Każdy, czy to mężczyzna, czy kobieta, ugina się pod garbem przywar i słabostek, choć nierzadko o nich nie pamięta. Otoczenie też widzi te wady lub ich nie dostrzega. Swoich wad należy się pozbywać, a z drugiej strony starać je akceptować u bliźnich. Tylko pod tym warunkiem współzycie ludzkie będzie do zniesienia.

Aby nabrać dystansu do cudzych wad, trzeba najpierw trzeźwo spojrzeć na samego siebie. Nabierz odwagi i zerknij w lustro, by zobaczyć, kim naprawdę jesteś! Jest to trudne, bo nikt nie lubi przyznawać się do własnych słabości. Umniejszamy wady przyjaciół, o ile ich mamy, wyolbrzymiamy zaś wady wrogów. Wady widziane w małżeństwach często po latach urastają do potężnych rozmiarów, tworząc mur nie do przebycia.

Współzycie międzyludzkie, a zwłaszcza małżeńskie, składa się najczęściej z trzech etapów: pierwszego, gorącego, kiedy zakochanie nie pozwala dostrzec wad drugiej osoby; drugiego, ochłodzenia, kiedy zaczynamy je zauważać i zastanawiamy się, czy nasz wybór był rzeczywiście trafny oraz trzeciego, sprowadzającego się do widzenia samych wad. Dostrzegamy źdźbło w oku małżonka, a nie zauważamy belki we własnym. Ale na szczęście nie wszyscy przez te etapy przechodzą. Godni pochwały są ci, którzy umieją cieszyć się cnotami bliźnich i wznosić się ponad ich wady. Ci, którzy koncentrują się na wadach u innych i wyolbrzymiają je, są najtrudniejszymi partnerami i współpracownikami, a tym bardziej przełożonymi. Niełatwo z nimi współżyć na co dzień.

Groźną wadą jest skłonność do obmowy. Pewien ksiądz zadał znanej plotkarce niecodzienną pokutę. Miała przejść całą ulicę i skubać kurę. Po tygodniu podczas kolejnej spowiedzi, kobieta przyznała się, że znowu plotkowała. „Czy odprawiłaś pokutę, tak jak ci nakazałem?” „Dokładnie tak, jak ojciec kazał!” „Dobrze, wróć tą samą drogą i pozbieraj wszystkie pióra, które rozrzuciłaś!” „Ależ to niemożliwe!” — zaczęła bronić się kobieta. „Córko moja, zrozum wreszcie, że tak samo niemożliwe jest zebranie złych słów, które rzuciłaś na wiatr w ciągu dnia!”

ADAM DECOWSKI FRASZKI

Toast

Zawsze podczas libacji
wznoszę toast: „na zdrowie”,
bo potem możesz przecież
leżeć w przydrożnym rowie.

Jeszcze o miłości

Wyznawała mu miłość
w nocy, o poranku
dopóki było pełne
jego konto w banku.

Nagrobek krytyka

Dopiero przestał — gdy buja w chmurach —
robić pisarzom koło pióra.

Modlitwa

Jeszcze chociaż raz daj Panie
przespać się na styropianie,
by potem z wielką ochotą
dość Rzeczpospolitą.

O małżeństwie

Niekiedy małżeństwo
jest wtedy dobrane
gdy ona jest ślepa,
on głuchy na amen.

Po wyborach

Prawie zawsze po wyborach
wracają nawyki stare.
Kończy się obiecywanie
zaczyna kabaret.

Zawsze mieliśmy

Zawsześmy swego mentora mieli
kiedyś w Moskwie, a dzisiaj w Brukseli.

Redakcja:
Adam Decowski, Edward Guziakiewicz
Oprawa graficzna: Edward Guziakiewicz